



THINO'PAI

ADRIANNA BIEŁOWIEC

Copyright © Adrianna Bielowiec, 2024
Copyright © Wydawnictwo HM

ISBN 978-83-67448-74-1
ISBN (e-book) 978-83-67448-75-8

Wydanie I

Projekt okładki
Adrianna Bielowiec
Materiały na okładce
CG Artist, Artbreeder, Canva, Pixabay
(Clker Free Vector Images, NoName13), zdjęcia autorskie
Ilustracja w książce
Susan Lu4esm, AstroGraphix, Canva
Redakcja, pierwsza korekta
Rafał Wojciechowski
Druga korekta
Janusz Muzyczyszyn
Skład
Marcin Halski
Strona autorska
facebook.com/zodiacuniversum

Niniejsza książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, aby przestrzegać praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie udostępniaj jej publicznie. Jeśli cytujesz fragmenty w ramach prawa cytatu, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując je, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydawnictwo Hm...
ul.Sobieskiego 225/9
42-580 Wojkowice
redakcja@wydawnictwohm.pl

www.wydawnictwohm.pl

THINO'PAI

Adrianna Biełowiec





Dotychczas opublikowane teksty autorki

Jednotomowe:

Alfa Jeden
Ognisty pył
Gen 56

Seria Zodiac Universum (proponowana kolejność czytania):

Onkalot (I tom trylogii *Death Bringer*)
Pięćdziesiąt twarzy Forkisa (opowiadanie, praca zbiorowa)
Mroczna strona Forkisa (prequel *Onkalota*)
Misja Odrodzenie (II tom trylogii *Death Bringer*)
Wilcza księżniczka (historia asasy Divinusa)
Czwarta szansa (historia Kate i androida Paula)
Wojna z Kandrok (III tom trylogii *Death Bringer*)

Pozycje, które można czytać samodzielnie i w dowolnej kolejności:

Wilcza księżniczka
Czwarta szansa
Pięćdziesiąt twarzy Forkisa
Mroczna strona Forkisa

Średnio na dwieście pięćdziesiąt milionów planet skalistych na jednej rozwinęło się inteligentne życie.

I Reguła Baksa, kiritiańskiego matematyka i astronoma

Szanowni Czytelnicy!

Jest mi niezmiernie miło, że wybraliście tę książkę na swoją lekturę. Mam nadzieję, iż dostarczy Wam ona wielu niezapomnianych wrażeń, a przede wszystkim godzin relaksującej rozrywki.

O historii myślałam już w trakcie pisania *Onkalota*, gdzie pojawia się wzmianka o Hanako Saharze. Na miejsce akcji pasowała azjatycka wioska położona gdzieś na odseparowanym terytorium, otoczona ogromnym lasem. Nie wiedziałam, czy wrócę do tego wątku, ale tak się stało po skończeniu *Wojny z Kandrok*. Ta militarna science fiction okazała się dla mnie wielkim, wieloletnim wyzwaniem ze względu na spore nagromadzenie w niej opisów technicznych, neologizmów, także wątków dotyczących strategii i taktyki. Po jej premierze potrzebowałam przerwy, ewentualnie zabrania się za coś lekkiego. I tak oto wróciłam do rozwinięcia wspomnianej historii, która tym z założenia miała pozostać – lżejszą powieścią obyczajową young/new adult, osadzoną w realiach science fiction. Równoległe z nią powstawał krótki tekst postapo, biopunk *Gen 56*.

Otrzymałam wiadomości od Was, Drodzy Miłośnicy Książek, dotyczące kontynuacji *Ognistego pyłu*. Powieść od początku miała być jednotomowa i nie planowałam tworzyć drugiego, głównie z powodu braku pomysłu na fabułę, która widziała mi się jako kolejna wersja bestsellera *Wojna światów*. Ale może to się zmieni, jeśli uda się wymyślić coś wartego publikacji. Dla fanów tej historii stworzyłam za to *Thino'paia*, który tak jak *Ognisty pył* skupia się na psychologii bohaterów i ich relacjach, a nie wartkiej akcji. Zatem jeśli nie macie ochoty czytać na tę chwilę o epickich walkach flot w kosmosie i mrowiu wynalazków przyszłości, *Thino'pai* może okazać się dobrym wyborem.

Pozostaje mi życzyć Wam udanej lektury! Zachęcam do dzielenia się opinią na jej temat w Internecie, co pozwoli mi wyeliminować słabe strony mojej twórczości i rozwijanie tych pozytywnych. Pamiętajcie, że książki piszę dla Was. Dzięki Waszej aktywności wiem, że energia (gdyby tak można było wziąć od *Kandrok* chociaż jedną ich baterię) i czas, które poświęcam na swoją pracę, mają sens.

Adrianna Bielowiec





Preludium

Wystarczyło jedno uderzenie potężnej, diardukowej pięści mecha bojowego, aby we wrotach fabryki produkującej sprzęt górniczy utworzył się krater.

Członkowie oddziału skrywającego się w budynku naprężyli mięśnie. Nie byli żołnierzami, na Yajiji instytucja wojska nawet nie istniała. Zamiast niego funkcjonował ekwiwalent zwany mjabia. Służył wspieraniu ludności w ekstremalnych sytuacjach, jak katastrofy naturalne czy zagrożenie ze strony skał kosmicznych, na samej planecie bądź w koloniach układu optycznie tetralnego, gdzie krążyły niepowiązane ze sobą grawitacyjnie cztery żółte karły. Bezkonfliktowy lud Ngozi Ya Kijani lubował się w nauce i zdobywaniu wiedzy; nigdy nie odkrył życia w kosmosie. Ufając swoim niezawodnym metodom badawczym, był przekonany, że rozwinęło się ono jedynie na ich planecie.

Dlatego Yajijanie byli równie przerażeni, co zaskoczeni, gdy flota wroga spadła na nich dosłownie z nieba. Krążyły plotki, że agresor obrał sobie tę planetę za cel z powodu słońc układu, miał bowiem inklinację do silnych źródeł energii. Jak i obsesję na punkcie światła. Prawdy nie udało się ustalić – cybernetyczni Kandrok nie zaliczali się do istot wylewnych, mimo iż zdecydowali się poznać język ofiar. Łapanki i eksterminacje przechodziły wówczas znacznie sprawniej.

W chwili ataku Yakijanie dysponowali jedynie sprzętem przemysłowym, jak i urządzeniami służącymi do walki z lokalną florą i fauną. Widok takiej „broni” w rękach autochtonów wywołał u Kandrok nie śmiech, a wręcz gniew i zażenowanie, bo mimo że wcześniejszy zwiad nie pozostawiał wątpliwości, z jakim typem cywilizacji przyjdzie im się zmierzyć, spodziewali się większego wyzwania. Yakijanie musieli przymusowo dywersyfikować wyposażenie militarne, by szybko dostosować się do nowej sytuacji. Zaczęli wytwarzać sprzęt wojenny na wzór skradzionego agresorowi; produkcja ruszyła w fabrykach (które wciąż działały) macierzy i na koloniach, ale sytuacja nie poprawiła się za bardzo. Z garści piasku stali się garścią żwiru pomiędzy zębami wroga, który przodował nad nimi we wszystkich dziedzinach. Wystarczyło jedynie splunąć tym żwirem na grunt.

Kolejne uderzenie mecha jeszcze bardziej wybrzuszyło wrota. Trzecie zostało wyprowadzone drugą ręką, bo padło pod innym kątem, bardziej na prawo.

Czwarte wyrwało część wrót z zawiasów.

Przez utworzone prześwitły zaczęły napływać do fabryki sugestywne dźwięki świadczące o zbliżającej się zagładzie: dudnienie ciężkich kroków mechów i mniejszych robotów bojowych, terkot broni energetycznej, syk chemicznej zdmuchującej ciało z kości, grzmot wybuchających ładunków, szum maszyn latających – którymi Kandrok celowo robili hałas – o jakich żadnemu Ngozi Ya Kijani nawet się nie śniło. Zamiarem najeźdźcy było niesienie śmierci i zniszczenia w taki sposób, jakby czynił to nie z własnej woli, ale był do tego zaprogramowany.

Zdenerwowani, uzbrojeni członkowie oddziału popatrzyli na swojego dowódcę, mężczyznę o patynowym odcieniu skóry, który u szczytu czaszki nosił kępkę przyciętych, niebieskich włosów. Jak każdy Yakijanin miał wysuniętą do przodu twarzoczaszkę, co upodobało odrobinę ten lud o szczątkowych ogonach i pręgach na ciele do kolorowych, tropikalnych gadów. Żaden mjabia nie przysłonił głowy hełmem, bo broni wroga i tak nie zrobiłoby to różnicy.

– Przyszedł... – szepnęła lider i stanowczo spojrział na towarzyszy. – On chce dorwać tylko mnie. Wy się wynoście boczną kieszenią towarową w głębi kompleksu, póki jeszcze nikt jej nie zajął. Uciekajcie później w góry. Macie szansę ocaleć! – zakończył warknięciem, widząc, że jego ludzie nie reagują. – Chunki, wyprowadź ich.

– To nic nie da, duat Salgo – odrzekła kobieta o brzoskwiniowej karnacji, z dużą liczbą brązowych, cienkich warkoczyków. – Widziałeś, co potrafią. Ich broń i wzrok przenikają ściany. Wiedzą, że tu jesteśmy. Bawią się nami jako niedobitkami w tym sektorze, bo już dawno mogliby zniszczyć całą fabrykę ledwo strzałem z okrętu. – Skinęła brodą ku frontowej elewacji.

Mech chwycił gigantycznymi kończynami krawędzie wrót i zaczął je wyłamywać i wypaczać, ciągnąc ku sobie. Towarzyszył temu niemiłosierny jazgot, gdy kruchy stop Yakijan miażdżony był przez niezniszczalny diarduk najeżdźcy.

– Może to was przekona.

Salgo wyciągnął ze schowka pancerza przedmiot wyglądający jak jajo, z żarzącą się wewnątrz pomarańczową esencją, która nie miała prawa być ogniem zamkniętym w całkowicie hermetycznym środowisku.

Spojrzenia mjabia stały się bardziej spanikowane niż wtedy, gdy byli świadkami makabry urządanej przez Kandrok.

– Zaraz, czy to nie przedmiot ze skażonej strefy? – Chunki odsunęła się, podobnie jak pozostali. – Wiesz, że nie wolno tam wchodzić. To może być broń. Wysadzisz całe miasto!

Salgo uśmiechnął się przelotem.

– Przechowuję go od dawna i jak dotąd nic się nie stało. Niestety, tego przedmiotu nie da się zbadać. Sądzę, że zabicie otoczki wywoła jakąś reakcję. Macie ostatnią szansę, by się wycofać.

– Wolę wylecieć w powietrze, niż dostać się w śliskie, białe łapska tamtych. – Mężczyzna z poranioną twarzą, zwany Jeuhiwa, wycedził dokładnie to, o czym myśleli wszyscy.

Wejście do fabryki stanęło otworem, przez kurtyny dymu wpadły do środka złote snopy jednego z zachodzących słońc. Z jego tłem kontrastowała ciemna sylwetka mecha, który cisnął za siebie wrota zgniecione w wielką piłkę, jakby były najzwyczajszym kamieniem. Twarze oddziały zaczęła oblewać fala gorąca bijąca od pożarów i innych rodzajów energii rozproszonej w drgającym powietrzu.

Stojący przy nodze mecha przybysz, któremu towarzyszyło czterech varoth – oznaczających w języku kandrockim żołnierzy – nie mogli sobie wybrać lepszej scenerii na robiące wrażenie wejście.

Był avorem, rdzeniem nadkolektywu Kandrok. W oczach Yakijan wyglądał przerażająco. Więcej maszyny niż żywej tkanki (chyba

że gapili się na diardukowy pancerz koloru ciemnego indygo z karminowymi detalami, mocno zintegrowany z ciałem). Biała skóra. Tej samej barwy włosy sięgające karku, zjeżone jak od potraktowania ich ładunkiem, wygolone po błyszczących bokach głowy. Lewe oko pomarańczowe niczym płomień, zaś drugie czerwone, sztuczne. Nad jego barkiem unosił się mackowaty twór z licznymi rubinowymi wizjerami, otaczającymi ten największy pośrodku. Kandrok określali te maszyny leberiksami i byli z nimi w jakiś sposób sparowani; służyły jako wsparcie w procesie anihilacji planety. Avor o spojrzeniu, w którym duma i gniew konkurowały z pogardą, był nieco przygarbiony – Salgo przypuszczał, że to z powodu dodatkowych komponentów bojowych. W prawej ręce trzymał sporą broń, której lufę niemalże ciągnął po ziemi. Morfologicznie przypominał Yakijanina, jednak genetycznie oba gatunki nie miały ze sobą nic wspólnego, co ustalili lokalni naukowcy, zbadawszy ciała zabitych wrogów. Wyszło wniosek, że w odległym kosmosie musiała zajść biologiczna konwergencja, wynikająca z ewolucji zachodzącej w podobnym środowisku – chyba że avorowie i Yakijanie powstali w wyniku aktu kreacji. Ale w chwili ataku nikogo nie obchodziła szczegółowa geneza obu gatunków.

Piątka wrogów również nie pofatygowała się, aby osłonić głowy, jedynie dolną część twarzy zakrywały aparaty oddechow. Barki i ręce aż po łokcie, gdzie kończyła się tkanka, także mieli odsłonięte, pancerz nie obejmował ponadto kieszeni płucnych i brzusznych, wyglądało to niczym przestrzenie wentylacyjne. Salgo nie sądził, że avorowie są na tyle lekkomyślni, iż odsłaniają się na wojnie, raczej ostentacyjnie gardzą ofensywą Yakijan, bo chyba nie było im gorąco. Ale mogło też chodzić o szybki dostęp do obszarów ciała związanych z odżywianiem czy leczeniem.

Tożsamość wrażego przybysza Salgo miał nieszczęście poznać już wcześniej: xepo Thino'pai. Największa zakała operująca w tej części planety. Gdzie się nie pojawił, tam kończyło się na trupach wśród niepotrzebnych Kandrok Yakijanach i niewolnikach wśród potrzebnych.

Thino'pai coś przeżuwał. Jakby telepatycznie wydał komendę ogromnemu mechowi, który się wycofał, powodując wibracje gruntu, by niebawem zniknąć wśród pożogi.

Strzelanina przycichła, co nie wróżyło niczego dobrego. Salgo przypuszczał, że Thino'pai zostawił ich sobie na deser jako przyjemny finał przydzielonych Kandrok na dzisiaj zadań.

Członkowie oddziału, wiedząc z doświadczenia, że wróg i tak nie zechce pertraktować, jak i w ogóle rozmawiać, zaatakowali z krzykiem na ustach. Rozbiegli się, strzelając. Poukrywali się za maszynierią i głównymi wspornikami hali.

Cyborgi aktywowały transparentne, błękitne tarcze ze znanej tylko Kandrok energii riumarikowej, osłaniając organiczne części swoich sylwetek. Obrywały pociskami po nogach, nie zwracając na to uwagi.

Dezaktywowały osłony, przemieściwszy się w głąb budynku. Spłoszeni ich bliskością Yakijanie i tak pudłowali, choć zwykle mieli wroga na linii wzroku. Nie dysponowali czymś takim jak wspomaganie celowania w starciu bezpośrednim, nie wspominając o braku doświadczenia.

Avorowie także otworzyli ogień, który ciął bądź przeszywał z łatwością wszystko, co znajdowało się w fabryce. Kilku Yakijan sparaliżowano, rozpoznawszy w nich materiał nadający się na wzmocnienie multigatunkowej armii Kandrok.

Thino'pai obrał inną taktykę, pozostawiając selekcję swoim varoth. Wspomagając się leberiksem, który polatywał po zakładzie i wskazywał mu cele, podchodził do pojedynczych, bezwartościowych Yakijan i załatwiał ich długim ostrzem wysuwającym z opancerzonego prawego ramienia. Dekapitował. Wbijał w brzuch i pociągał aż po głowę. Rozpoławiał. Ciął po skosie. Miał do dyspozycji diarduk, zatem pancerze tamtych również dobrze mogłyby być wykonane z utrzymanej w odpowiednim kształcie wody. Jednego z obrońców xepo chwycił dłonią za twarz i zmiażdżył mu czaszkę na kawałeczki. Spomiędzy palców wypłynęły zielona posoka i galaretowaty mózg.

Mimo wszystko Yakijanie odnosili drobne sukcesy – poległ jeden avor, rozstrzelany gremialnie przy jako takim skoordynowanym działaniu garstki mjabia. Rzeź przerwał kandrocki okręt, który nagle spadł na fabrykę. Kolubryna doszczętnie zełomowała budynek, dach zapadł się całkowicie razem z półkilometrowej długości kadłubem. Szelc utworzył wypełnione toksynami i skwierczącym ogniem labirynty.

Kaszłący Salgo nie wiedział, co się stało z jego ludźmi, nie słyszał ich. Uwolniwszy się z przygniatającej go pułapki, przedzierał się przez zadymione zasy metalu, wzdłuż resztek okrętu, chcąc wydostać się z najeżonego ostrymi fragmentami tunelu.

Umorusanemu mazidłami i sadzą udało mu się przedrzeć na otwartą przestrzeń, pod fragment wieczornego nieba. Ciężko dysząc, opadł na plecy. Był nieznacznie ranny w nogę, bark i łędźwie.

Coś potężnego przedzierało się niestrudzenie jego śladem, rozwalając wszystko, co zagrażało mu drogę. Yakijanin przypuszczał, że to któraś z licznych odmian kandrockich robotów, ale niebawem ujrzał Thino'paia. Wyłonił się spod złomu, rozrzucając go siłą swych scyborgizowanych rąk. Dołączył do niego leberiks, znalazłszy drogę powietrzną naokoło. Avorowie działali według kryteriów funkcjonowania własnego społeczeństwa, w którym należało chronić liderów kolektywów, jak i gerhę, głowę całego nadkolektywu. Dlatego tak zachłannie polowali na dowódców obrony Yakijan.

Salgo wyciągnął artefakt z tłącym się rdzeniem, który na czas walki wsunął do schowka, licząc, że mimo krytycznego położenia jednak wykaraskają się z kłopotów. Teraz, po stracie wszystkich ludzi, było mu już wszystko jedno.

Thino'pai kroczył nieśpiesznie w jego stronę niczym cierpliwy egzekutor, skanując go upiornym okiem. Nie unosił broni palnej – przeznaczył dla Salga wysunięte ostrze. Z ran na ramieniu avora ciekła czerwona krew; u Yakijan barwnik posoki był zgodny z pigmentem skóry.

Avor rozsunał na moment maskę oddechową, by wypluć na ziemię to, co dotąd meł w ustach – kość palca pechowego tubylca, której nie dało się już bardziej ogołocić z mięsa.

Salgo modlił się, aby napastnik podszedł jak najbliżej. Był pewien, że dysponujący niesamowitym zapleczem skanującym avor zareaguje na widok artefaktu, ale tak się nie stało. Więc albo go nie rozpoznawał, albo Salgo wszedł w posiadanie bezwartościowego śmiecia, z próżnej desperacji chcąc w nim widzieć skuteczne narzędzie zemsty.

Przestał udawać nadmiernie rannego. Zerwał się i z krzykiem zaatakował Thino'paia, który niedbale przysłonił się ostrzem. Ani on, ani jego leberiks nie dostrzegali w Yakijaninie zagrożenia.

Diarduk walnął w obudowę artefaktu przypominającą szkło wulkaniczne. Ta nie tylko nie pękła, ale i nie nabyła nawet rysy.

Thino'pai spojrział w stronę nieba, gdzie przelatywał jeden z ich destruktorów.

– Po tej kampanii na pewno stanę się Wyzwolonym – odezwał się po kandrocku. Miał na myśli najdoskonalszą formę całkowicie pozabawioną organicznego ciała, maszynę z orhadą – zasilaniem istoty żyjącej, esencją świadomości i istnienia – przeniesioną do sztucznego mózgu. Do tej ostatecznej postaci z utęsknieniem dążył każdy avor. Thino'pai spuścił wzrok na swoją ofiarę. – Nie nadajesz się fizycznie do absorpcji do nadkolektywu. – Łatwo zabrał przedmiot z rąk osłabionego Salga, jedno i drugie brudząc swoją krwią. Przyglądał się przedmiotowi obojętnie, następnie go wyrzucił, ciskając przez ramię. – Dlatego muszę cię zabić.

Wykonał cięcie ostrzem, które Salgo zbił pod kątem prętem podniesionym w pośpiechu z kupki złomu. Thino'pai znów go zaatakował, tym razem sztychem z góry i ponownie został sparowany metalem trzymanym oburącz. Czujący upokorzenie Yakijan nie miał wątpliwości, że wredny avor się z nim zabawia, wkładając w uderzenia ułamek swojej siły.

– Szybki jesteś mimo ran – skomentował Thino'pai bez uznania. Jego leberiks wisiał smętnie nieopodal, jakby wszedł w stan uspienia. – Ale i tak za słaby.

Obaj zerknęli na artefakt, którego stan diametralnie uległ zmianie. Poruszająca się w środku niczym spłoszone, bioluminescencyjne pierwotniaki esencja miała teraz kolor żółty i przechodziła w biel.

Wrogowie spojrzeli po sobie. Zaciekawiony Thino'pai zamasytym kopniakiem przewrócił Yakijanina i ruszył w stronę przedmiotu.

Z prawej strony uderzył weń rozpędzony ciężar – to Chunki, cała, żywa, choć brudna, dotarła do swojego dowódcy i zrobiła jedyną rzecz, jaka przysła jej do głowy. Zdołała wytrącić avora z równowagi i oboje runęli na grunt. Przez dziurę w ścianie dostali się do środka ostatni dwaj ocalali z oddziału Yakijanie, w tym Jeuhiwa, udało im się umknąć przed zbierającymi się ze zgliszczy varoth.

Jeuhiwa razem z Chunki, która zdążyła zsunąć się z Thino'paia, zaczęły strzelać z bliska do avora. Udało im się go silnie zranić. Ostatni z przybyłych zaatakował leberiksa, w odpowiedzi na jego ciągły ogień z karabinka.

Artefakt zaczął świecić intensywnym, białym światłem. Myśląc, że jednak w ruinach prastarej cywilizacji, objętej permanentną kwarrantaną, znalazł ładunek wybuchowy i zaraz dojdzie do potężnej detonacji, Salgo doczołgał się do przedmiotu. Chwycił go, wysunawszy obolałą rękę.

Gdy się obrócił na plecy, zobaczył, że umazany swoją i cudzą krwią Thino'pai zdołał powalić dwójkę jego towarzyszy, a ostatni padał właśnie pod ostrzałem leberiksa.

Salgo wstał. Krzycząc, zamachnął się i cisnął przedmiotem w avora.

Thino'pai złapał go odruchowo. Zapatrzył się weń. Zafascynowany wyczuwał bijące od niego gorąco, jak i ogromną, nieznaną moc.

Eksplozja niby mikrosupernowej odrzuciła Salga na wiele kroków i cisnęła nim o podłoże. Cudem uniknął nadziania na odstający fragment okrętu. Zjawisko trwało ledwie moment, potem nastąpił neurotyczny spokój. Świat zdawał się dogorywać pośród ognia, jego skwierczenia i dymu.

Leberiks i Thino'pai zniknęli albo wyparowali. W miejscu, gdzie przebywali chwilę wcześniej, ziajał wielki, syczący, żarzący się krater, jakby z nieba spadła kometa.

Salgo z przeogromnym poczuciem ulgi zauważył, że jego porozwalani na obrzeżach wgłębienia towarzysze się poruszają. Niemalże się roześmiał, widząc minę zdziwionej Chunki, która podniosła się na łokciach, spoglądając najpierw w krater, potem na niego.

Cokolwiek się wydarzyło, zgładziło jednego z silniejszych, najokrutniejszych dowódców najeźdźcy i tylko to miało teraz znaczenie. Salgo mógł pozwolić sobie na utratę przytomności i zaznać choć trochę należnego odpoczynku, co też uczynił.